

Od autora: Oto początek historii. Fragment jest dość długi, ale żeby nie wprowadzać jeszcze większego zamieszania, postanowiłam go nie dzielić.

Kalabria, 1972

Z szalasu skleconego z gałęzi i starego spadochronu widać było tylko gęste krzaki i pnie drzew porastających wzgórze nad miasteczkiem Cerchiara. Wystarczyło jednak zejść kilka metrów, aby zobaczyć panoramę miasta, a pod nim szerokie polacie kamienistej ziemi upstrzonej kępami żarnowców, ostrych traw i różnorodnych ziół. Okoliczne kobiety zbierały je do wiklinowych koszy, wiązały w pęczki i wywieszały przy nagrzanym słońcem ścianach. Latem kamienne zaułki miasta wypełniał ich aromat.

Perchino najbardziej lubił oregano. Kojarzyło mu się z rodzinnym domem ojca, w którym spędzał z siostrą, Felicettą, część wakacji – ciotka Carmela maczała suche gałązki w mieszance octu winnego i oliwy i pokropywała mięso, piekące się na kamiennym palenisku. Ale jego zapach unosił się też w garażu starego stolarza Pietra, u którego przesiadywał słuchając opowieści o czasach wojny i głodu i w pizzerii, którą niedawno otworzył tata. Czuł go, gdy przychodził do *wielkiego domu* drugiego dziadka.

Dziadek Gennaro był ważną osobą w mieście, może najważniejszą. Miał aptekę i mnóstwo innych spraw, jednak zawsze znajdował czas dla swoich wnucząt. Perchino był najmłodszym z chłopców, ale to właśnie z nim dziadek rozmawiał najchętniej. Łączyła ich szczególna więź. Często stawali na balkonie i razem patrzyli w dal, aż poza ruiny normanckiego zamku.

- Nigdy nie wstydz się kochać i podziwiać miejsca, z którego pochodzisz – mówił dziadek, zataczając ręką szeroki krąg. – Te okolice, to miasto, jego kolory, smaki, jego tradycje i sekrety to dary od Boga, których powinniśmy strzec.

- Tylko my dwaj?

- Nie. Nie tylko. Wszyscy powinniśmy ich strzec, ale ty i ja umiemy robić to najlepiej. A wiesz, dlaczego? – pytał, gładząc ciemne włosy wnuka. – Bo my potrafimy kochać zwykłych ludzi.

- Takich jak Pietro?

- Właśnie takich.

Perchino czuł, że wszystko, co mówi dziadek jest ważne, dlatego, ilekroć przychodził razem z Nunziem do swojej kryjówki, przystawał na skraju lasu i patrzył na stada kóz i owiec pasących się na stokach łagodnie schodzących aż do wybrzeża. Na srebrzyste gaje oliwne, plantacje cytrusów i bezchmurne niebo, które dotykało morza, sprawiając, że dwa odcienie błękitu przenikały się nawzajem, tworząc kurtynę oddzielającą to miejsce od reszty świata.

Nunzio mieszkał w *wielkim domu*, ale wcale nie wywyższał się z tego powodu, jak jego brat, Gennarino. Byli nie tylko kuzynami, ale także przyjaciółmi, takimi prawdziwymi, nierozłącznymi i choć dzieliła ich różnica wieku – Nunzio był starszy o rok i cztery miesiące – to razem poszli nawet do szkoły. Chodzili do tej samej klasy i zasiadali w jednej ławce.

Jednak dziś Perchino przyszedł sam i nie zatrzymał się nawet na chwilę. Odsunął kępę suchej trawy maskującej wejście do szałasu i zmęczony wspinaczką, rzucił się na pryczę. Leżąc na plecach, liczył dziury w materiale, przez które wpadały pojedyncze promienie słońca. Nie było to proste. Obraz zamazywał się i Perchino musiał zaciskać powieki, aby powstrzymać napływające łzy. Nabierał powietrza i wypuszczał wąskim strumieniem dopiero wtedy, gdy zaczynały boleć rozdęte policzki. Otwierał oczy i liczył od nowa.

Kiedy znaleźli z Nunziem spadochron, wydawał się nienaruszony, dopiero po tym, jak wtaszczyli go na wzgórze i rozpięli na gałęziach zobaczyli, że jest pełen dziur. Załatali te większe, reszta wpuszczała akurat tyle światła, ile potrzeba, żeby swobodnie poruszać się po wnętrzu.

Przez kilka miesięcy zgromadzili w szałasie spory majątek: wełniane koce, dwa stołki, kilka noży, łuk i wielką maczetę, którą ucinali gałęzie. Potem wypatrzyli jeszcze blaszane talerze i garnki, i one też znalazły się w szałasie – nigdy nie wiadomo, czy kiedyś nie będą potrzebne. Mieli nawet mandolinę, na której żaden z nich nie potrafił grać. Największymi jednak skarbami była lornetka i najprawdziwsza w świecie radiostacja. Każdy chłopak w miasteczku potrafił strzelać z procy, niektórzy nawet z dubeltówki, ale żaden z nich, nawet Gennarino, nie miał pojęcia o alfabecie morsa i działaniu radiostacji.

Niemal wszystko, podobnie jak spadochron, pochodziło z przepastnych piwnic dziadka, które łączyły się z jaskiniami i przez wydrążone w skale tunele, schodziły aż poza granice miasta. O podziemiach *wielkiego domu* krążyły legendy. W mieście szeptano, że w czasie wojny przetrzymywano tam niemieckich jeńców i faszystów z północy, że Amerykanie spotykali się z partyzantami i o wielu innych rzeczach, które miały miejsce do dziś. O niektórych Perchino wiedział doskonale, o inne, choć ciekawość paliła go żywym ogniem, nie odważył się pytać. Coś podpowiadało mu, że są sprawy, o których nie należy rozmawiać.

To samo *coś* kazało mu dziś uciec z miasta. Gdyby został, ktoś w końcu zobaczyłby jego rozpacz i wstydlive łzy. Czuł się nieszczęśliwy jak małe dziecko, któremu zabrano zabawkę, ale on nie był dzieckiem. Miał osiem lat, dziadek w zeszłym tygodniu po raz pierwszy zabrał go na polowanie, a to oznaczało, że był już dorosły i w żadnym wypadku nie powinien płakać. Perchino wolałby być zły, wtedy, zamiast mazać się jak dziewczyna, mógłby rzucić kamieniem, wałnąć pięścią w ścianę albo rozpocząć bójkę z którymś z chłopaków.

- Jestem wściekły – krzyknął głośno. – Jestem kurewsko wściekły – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem, ale nawet przekleństwo nie sprawiło, że poczuł się lepiej.

Gdyby tylko prosto z domu poszedł do szkoły, siedziałby teraz w klasie i niecierpliwie czekał na dzwonek. Potem, tak jak obiecał siostrze, poszedłby z nią do pizzerii ojca, żeby pomóc w dekorowaniu urodzinowego tortu dla mamy. Wieczorem wszyscy razem mieli zasiąść do uroczystej kolacji w *wielkim domu*. Ale jego tam nie będzie, zostanie w szałasie, a potem... Ciągłe nie wiedział co robi, ale był pewien, że nie może wrócić do miasta. Nie po tym co usłyszał.

Wyszedł wcześniej niż zwykle, żeby pogadać z dziadkiem. Często tak robił. Wiedział, że o tej porze w aptece jest sam, ale tym razem, gdy wszedł, przez otwarte drzwi do zaplecza, usłyszał głos babki Luci. Nie lubił jej. Nikt jej nie lubił. Babka Lucia była matką dziadka, musiała mieć przynajmniej sto lat. Miała tak wysuszoną i pomarszczoną skórę, że w każdej chwili mogła z niej spaść, obnażając powykrzywiane kości. Chodziła mocno opierając się na drewnianej lasce, która wydawała równie nieprzyjemny dźwięk jak jej skrzeczący głos. Perchino nie lubił jej z jeszcze jednego powodu – babka Lucia nie zносиła Felicety, a ona była przecież ładniejsza od sióstr Nunzia i z całą pewnością mądrzejsza od córek wujka Tonina.

Schowal się pod ladą, czekając aż babka sobie pójdzie i wtedy usłyszał fragment rozmowy. Nie zrozumiał od razu, ale straszna prawda w końcu do niego dotarła. Wszyscy ją przed nim ukrywali, nawet dziadek. Poczul się oszukany, zdradzony, obcy. Wybiegł z apteki i nie zatrzymał dopóki nie dotarł na wzgórze. Tamte słowa biegly za nim i wciąż brzęczały w uszach. Nawet rozpaczliwy szloch, który zaczął wstrząsać jego ciałem nie był w stanie ich zagłuszyć.

- To nieprawda. To nieprawda – powtarzał w nieskończoność.

Dopiero kiedy odrętwiałe ręce rozluźniły uścisk, usłyszał złowrogi dźwięk, dochodzący gdzieś z oddali. Nasłuchiwał przez chwilę, potem zerwał się z pryczy i wybiegł z szałas.

Zanim jeszcze zobaczył panoramę miasta, wiedział, że stało się coś strasznego. Pędem ruszył w dół.

Krew wypływająca ze zranionego

ciała wcale nie jest ciepła -

potrafi zmrozić nawet

rozpaloną słońcem skórę.

Potrafi zablokować krzyk.

I ból.

Na chwilę...

Rozdział I

Gości hotelu Principe del Piemonte, również na plaży, obowiązują surowe zasady. Trzeba wejść z dumnie uniesioną głową, zatrzymać się na wysokości baru i okazać odpowiednią dozę zniecierpliwienia w oczekiwaniu na chłopca z obsługi. Nie wypada zauważyć go zbyt wcześnie, nawet jeśli stoi tuż obok. W odpowiedzi na uprzejme powitanie wystarczy lekko wykrzywić usta w coś, co przypomina uśmiech, a potem pewnym, ale niezbyt szybkim krokiem, należy skierować się w stronę swojego parasola. Dla gości hotelowych zarezerwowane są te najbliższej wody, inni muszą zadowolić się miejscem w trzecim lub czwartym rzędzie. Nietaktem jest patrzeć w tamtym kierunku.

Absolutnie zabronione jest własnoręczne rozkładanie parasoli i łóżek, a nawet, sygnowanych eleganckim emblematem, plażowych ręczników. Od tego są inni, goście stają w bezpiecznej odległości i czekając aż wszystko będzie gotowe, pozdrawiają sąsiadów. Swoją wyższość, zamkniętą na czas wakacji w rodzinnych sejfach, demonstrują co dzień innym kostiumem od słynnego stylisty i markowymi torbami, z

których wyjmują równie markowe kremy do opalania.

Małgosia przez ostatnie trzy tygodnie z upodobaniem łamała wszelkie reguły. Przychodziła wcześniej od innych, jakby cały rytuał związany ze śniadaniem i przygotowaniem siebie oraz dwójki dzieci do wyjścia na plażę, zajmował jej mniej czasu, i od samego rana tryskała energią i dobrym humorem. Żartowała z ratownikami i, zamiast wzywać plażowego boya, sama chodziła do baru po zimne napoje. Razem z Vincenzem biegała po plaży albo siadała na piasku i obsypywała czułościami małą Luisę. Tego ranka jednak zachowywała się dokładnie tak, jak powinna. Oddała dzieci pod opiekę animatorek, a sama położyła w cieniu parasola.

Od kilku dni nie czuła się najlepiej, dziś, po nieprzespanej nocy była wyjątkowo rozdrażniona. Miała już dość tego miejsca, niezmałconej powtarzalności zdarzeń i otaczającej ją zewsząd pobłażliwej tolerancji.

Bezsensowność ma jedną zaletę – pozwala pobyć sam na sam ze sobą, pozbierać w całość pojedyncze słowa, te wypowiedziane i te usłyszane, i znaleźć wytłumaczenie dla pozornie przypadkowych zdarzeń. Poszukać odpowiedzi na pytanie, kiedy trzeba słuchać siebie, a kiedy poddać powinnościom.

Małgosia właściwie zawsze była rozsądna. Tego nauczyła ją mama, ale był też tata, który namawiał do realizacji marzeń. Sam nie miał takich możliwości. Gdy dorastał świat był inny, ograniczony dla tych, którzy stali po niewłaściwej stronie. Potem pojawiła się ona. Tata mawiał, że jest najpiękniejszym i najbardziej wzniosłym wyzwaniem jego życia. Nie była po prostu jego „szczęściem”, pospolitą „radością”, czy „nadzieją na przyszłość” – jak mówili o swoich dzieciach inni rodzice. Ona była wyzwaniem i to sprawiało, że czuła się wyjątkowa.

Ojciec zaszczepił w Małgosi ciekawość świata i wiarę, że dla niej wszystko jest możliwe. Chciała pojechać na słynny festiwal muzyczny w Roskilde, poczuć atmosferę łacińskiej dzielnicy Paryża, posłuchać „czarnej” muzyki granej w mrocznych zaułkach Nowego Orleanu i gdzieś po drodze, na chwilę, zatracić się w szaleństwie zabawy okraszonej marihuaną.

Pierwsza życiowa porażka sprawiła, że jej wiara we własne siły przygasła. Pamiętała dokładnie dzień, w którym na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego wywieszono listę nowych studentów. Bezskutecznie szukała na niej swojego nazwiska. Niedowierzenie przekształciło się w rozpacz. Nie pomogło piątkowe świadectwo maturalne, ponieważ na egzaminach wstępnych nie poradziła sobie ze stresem. Wstyd nie pozwalał jej wychodzić z domu. Każde spotkanie z koleżankami było upokorzeniem. One szukały podręczników akademickich, Małgosia – pracy. Z wielkich marzeń została kupka żalu i rozczarowania. Unikała współczujących spojrzeń rodziców, zamykała się w pokoju albo przemykała ukradkiem na ulubioną ławkę w parku. Któregoś dnia poszła do kościoła. Proboszcz szukał chętnych do opieki nad chorymi i dziećmi. We Włoszech. Pojawiło się światełko w tunelu. Taka praca mogła dać jej niezależność, porażkę zamienić w sukces. Małgosia pochwyciła swoją szansę. Kiedy jechała do Monzy miała jasny plan: zostanie kilka miesięcy, na wiosnę wróci do domu, przygotowuje do egzaminów, dostanie na studia, a za zarobione pieniądze ufunduje sobie prezent – w wakacje wyruszy w podróż marzeń. Nie przewidziała jednak, że nie potrafi oszczędzać. Gdy nadszedł czas powrotu nie miała pieniędzy, za to miała węgierską przyjaciółkę o wdzięcznym imieniu Aniko, chłopaka, który grał na basie w zespole rockowym i nowe plany. Dzieci ją uwielbiały, a ich rodzice, Maria i Andrea, traktowali jak członka rodziny. Wokół było jeszcze tyle ciekawych miejsc do zobaczenia, ludzie byli tacy inni niż w Polsce – uśmiechnięci, życzliwi. Jeszcze kilka miesięcy, myślała. A potem Maria miała wypadek. Małgosia nie mogła wyjechać. Za namową Andrei podjęła studia na Uniwersytecie w Mediolanie, zaczęła potajemnie spotykać się z Luigim i... stanęła w miejscu.

To było przykre spostrzeżenie. Aby je zatrzeć, Małgosia sięgnęła po przyniesioną ze sobą książkę. Po kilku zdaniach natknęła się na nieznany zwrot. Wynotowała go na liście słówek do przetłumaczenia i jeszcze raz przeczytała ostatni fragment. Wydawał się zupełnie bez sensu, zupełnie jak wrażenie, że te wakacje były swoistym testem, częścią egzaminu, któremu jakiś czas temu, została poddana.

Odłożyła książkę i popatrzyła na równy rząd białych parasoli. Wszystko było takie poukładane, perfekcyjne. I zimne. Dokładnie takie jak Graziella, która podarowała im ten wyjazd. Pewnego dnia zdecydowała, że jej córka potrzebuje odpoczynku, następnego przyszła, oznajmiając, że pobyt w Viareggio dla Marii, jej rodziny, i oczywiście Małgosi, jest zarezerwowany i opłacony. „I oczywiście Małgosi” zostało szczególnie zaakcentowane, ale wtedy, w ogólnej konsternacji, jakby umknęło jej uwadze. Swoje znaczenie odzyskało dopiero wczorajszej nocy. Podobnie jak fakt, że Maria, choć nie znosiła luksusowych hoteli, a termin wyjazdu kolidował z zawodowymi planami jej męża, bez oporów przyjęła prezent.

Ale ona też już miała dość tych wakacji. Obydwie niecierpliwie czekały na przyjazd Andrei. Pojawił się wczoraj.

Jadły z dziećmi kolację. Vincenzo niecierpliwie wypatrywał kelnera, czekając na deser. Nagle zniechęcił się.

- Tata – krzyknął i ruszył biegiem w stronę wejścia.

Małgosia i Maria odwróciły się niemal w tym samym momencie. Z niedowierzaniem patrzyły jak Andrea podnosi syna i niosąc go w ramionach, podchodzi do stolika. Luisa natychmiast przyłgnęła do ojca.

- Udała mi się niespodzianka – zawołał roześmiany. – Wasze miny warte są każdej minuty przestanej w korkach.

Czule ucałował żonę i musnął policzek Małgosi.

- Pięknie się opaliłaś – powiedział, zatrzymując wzrok na nagich ramionach.

- Ty za to pięknie zmizerniałeś – odparła z uśmiechem.

- To z tęsknoty za wami, dziewczyny. – Mrugnął porozumiewawczo do żony i dodał: – W naszym mieście jest ktoś, kto zmizerniał jeszcze bardziej.

Takie komentarze wciąż wprawiały Małgosię w zakłopotanie. Zaczynała mieć wątpliwości, czy to kiedykolwiek się zmieni. Egzamin dobiegał końca, wiedziała, że go zdała, tylko że teraz, leżąc wśród ludzi połączonych ze sobą jedynie ciszą i adresem zamieszkania, zastanawiała się, czy w ogóle powinna do niego podchodzić.

Drgnęła na dźwięk znajomego głosu, strącając leżącą obok książkę. Powiew wiatru przewrócił kilka kartek i zabrał ze sobą ukryte pomiędzy nimi notatki. Zerwała się. Parasole zawirowały, białe kartki straciły ostrość, a piasek usunął spod stóp. Osunęła się na ziemię, zanim Andrea zdążył ją pochwycić.

Temat porannego omdlenia Małgosi powrócił podczas obiadu.

- Jednak powinienem był zaprowadzić cię do lekarza – powiedział Andrea, po raz kolejny obrzucając dziewczynę uważnym spojrzeniem. – Ty ciągle kiepsko wyglądasz.

- To były tylko zawroty głowy.

- Oczywiście, pani Obowiązkowa – zakpił. – Padnę na nos, a się nie przyznam.

- Do czego?

Maria zauważyłaby od razu, że to pytanie padło zbyt szybko, zbyt nerwowo, na szczęście razem z dziećmi stała przy akwariium z langustami. Andrea nie dostrzegł, jak kurczowo ścisnął Inianą serwetkę.

- Że wykończyły cię trzy tygodnie w jednym pokoju z potworami.

Małgosia uśmiechnęła się z ulgą. Wciąż czuła smak pieczonej ryby i to, tak samo jak dociekliwość Andrei, nie było przyjemne. Włożyła do ust kawałek soczystego arbuza.

- Trochę dał mi się we znaki ten upał – przyznała wreszcie.

- Dlatego dzisiaj my zajmiemy się dziećmi, a ty odpoczniesz.

- Dziękuję, ale...

- Zmykaj – przerwał jej. – Albo za chwilę dam ci solidnego klapsa – dodał, widząc wahanie dziewczyny.

Andrea od samego początku traktował ją jak młodszą siostrę. Wnosząc jej walizkę, patrzył w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że jest zadowolony, że to właśnie ona zostanie opiekunką jego dzieci. Była wtedy młodą dziewczyną, nieznającą obcego języka i wystraszoną rolą, o której nie miała pojęcia. Przez ostatnie lata wiele się zmieniło, ale wzajemna sympatia pozostała.

- Będę w pokoju, gdybyście mnie potrzebowali – powiedziała, uśmiechem wyrażając wdzięczność. Podeszła do Marii, ucałowała Luisę i Vincenza i lawirując między stolikami opuściła restaurację. Korytarz na piętrze jej pokoju wydawał się nieskończenie długi, gdy zamykała za sobą drzwi, była wykończona. Pozbierała porozrzucane zabawki i zamknęła ciężkie, drewniane okiennice. Zapanował przyjazny mrok. Położyła się na chłodnym prześcieradle, wciąż szukając usprawiedliwienia dla kaprysów swojego ciała. Przemęczenie. To tylko przemęczenie. Ten upał, całkowity brak prywatności i obowiązkowa wakacyjna wesołość. I samotność.

W pokoju wypełnionym ciszą, w którym nagle zabrakło dziecięcego chichotu Luisy i setek pytań nieustannie zadawanych przez Vincenza, była szczególnie dotkliwa, ale uczucie osamotnienia dopadało ją również na plaży i na balkonie, z którego wieczorami obserwowała jak kolejne grupy roześmianych, młodych ludzi zbierają się przy fontannie, aby podjąć najważniejszą decyzję dnia – w którym z lokali rozpocząć nocne szaleństwo.

Wtulona w poduszkę modliła się, aby to właśnie zazdrość, jaką czuła patrząc na nich, była przyczyną jej słabości. Jednak niepokój, który towarzyszył jej od samego rana podsuwał kolejne obrazy. Nie miała siły na analizowanie faktów. Zmęczenie mieszało daty i obliczenia i wreszcie sprowadziło sen.

Obudził ją dopiero przyciszony głos Vincenza:

- Mamo, dlaczego Margherita ciągle leży? Czy ona żyje?
- Co ci przyszło do głowy? – zapytała szeptem Maria. – Oczywiście, że żyje.
- Ale się nie rusza.
- Bo śpi, a my nie będziemy jej przeszkadzać. Zabierzemy wasze rzeczy i pójdziemy na kolację.
- A Margherita? Nie pójdzie z nami?
- Nie, kochanie. Dziś będziemy sami. Może nawet zostanieie na noc ze mną i z tatą. Poprosimy w recepcji, żeby wstawili nam dodatkowe łóżko dla ciebie.
- Super – zawołał, używając ulubionego słowa. Ostatnio wszystko było „super”. Kamyczek znaleziony na plaży, przejeżdżający kabriolet, lody z bitą śmietaną, pożeracz ognia na ulicy. Nawet skaleczona noga siostry była super.
- Mamo, a czy Margherita nie umrze z głodu jak ją tu zostawimy?
- Na pewno nic jej nie będzie.
- A mogę dać jej buziaka?
- Jutro dasz jej tysiąc buziaków.

Ciąg pytań i odpowiedzi zaczął się oddalać. Małgosia poczekała aż przetnie go odgłos zamykanych drzwi i dopiero wtedy otworzyła oczy.

Ktoś musiał uchylić okiennice, bo do pokoju wpadało trochę światła. Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Zwykle o tej porze, tęsknie spoglądając za okno, przebierała się do kolacji. Potem schodziła na dół, mając przed oczami plac wypełniony barwnymi postaciami i zasiadała za stołem, uważając by nie opierać łokci na białym obrusie.

Dziś wreszcie mogła zrobić to, o czym marzyła – wyjść, wtopić się w tłum, poznać kogoś nowego i spędzić beztroski wieczór w jednej z dyskotek. Mogła. Jednak niepokój, który obudził się razem z nią podpowiadał, że może nie powinna. Poczula znany ucisk w żołądku. Kolejna nieprzespana noc pełna niepewności i strachu zamiast egzotycznych drinków i zabawy. Ta nieprzyjemna myśl dodała jej energii. Wstała z łóżka, założyła jedwabną sukienkę, umyła twarz i wyszła z pokoju.

Chyłkiem przemknęła obok recepcji. Na zewnątrz powietrze wciąż było gorące, ale lekki wiatr od morza niośł ze sobą orzeźwiający drobinki wody. Wzięła głęboki oddech i pewnym krokiem skierowała się w stronę uliczki, przy której stał budynek oznaczony zielonym, kwadratowym krzyżem. Stała na końcu kolejki. Co o tej porze, będąc na wakacjach, można kupować w aptece? Witaminy? Plastry opatrunkowe? A może tabletki antykoncepcyjne?

- Poproszę test ciążowy – powiedziała, gdy wreszcie stanęła przy ladzie.

Schowała głęboko do torebki niewielki pakunek.

Droga powrotna wydawała się nie mieć końca. Dokładnie tak jak kolejka w aptece. Szybko przeszła przez pokój, który dzielił ją od zacisza łazienki. Przepisowe dwie minuty trwały tak długo, jak jej dotychczasowe życie. Zanim Małgosia opuściła wzrok na plastikową płytkę, leżącą na umywalce, wiedziała, że w białych okienkach zobaczy dwie niebieskie kreseczki.

Wyłożone szarym marmurem ściany ożyły. Ze wszystkich czterech stron głośno maszerowały w jej kierunku, ich ciężkie kroki wystukiwały monotony rytm, który składał się w jedno powtarzane bez przerwy słowo – *banal, banal, banal*.

Poczuła, że zmniejszająca się przestrzeń, pozbawia ją powietrza. Szarpnęła pozłacaną klamkę. Drzwi ustąpiły niespodziewanie łatwo. Zachwiała się, ale nie przystanąła, strach, że za chwilę straci szansę by uciec, dodał jej sił.

Główna ulica Viareggio tętniła życiem. Małgosia mijała kolejne bary i restauracje. Po-brzękiwanie talerzy przeplatało się z muzyką i wesołym pokrzykiwaniem kelnerów. Jazgotały wszędobylskie skutery. Skręciła w bok. W narożnej kabinie telefonicznej ktoś dzielił się z bliskimi swoimi wrażeniami. Kilka osób, czekając aż skończy, niecierpliwie przestępowało z nogi na nogę.

Weszła na nadmorską promenadę. Na murku otaczającym pień rozłożystej palmy trzy nastolatki obserwowały chłopców kopiących piłkę. Biało-czarne koszulki Juventusu wyraźnie odbijały się na tle piasku. Ktoś przemknął na deskorolce, gdzieś niedaleko wybuchła salwa śmiechu i rozplynęła powoli wśród tysięcy innych dźwięków.

Małgosię znów ogarnęła fala zazdrości. Ona też chciała się śmiać. Dołączyć do dziewczyn otaczających chłopaka grającego na gitarze i śpiewać razem z nimi. Przystanąła na chwilę, ale nadzieja, że gdy odejdzie wystarczająco daleko od dwóch niebieskich kreseczek pozostawionych w hotelowej łazience – one znikną, gnała ją naprzód.

Szła długo i szybko aż oddech stał się płytki, a zmęczenie zaczęło paraliżować nogi. Usiadła na ławce. Słońce już zaszło, pozostawiając purpurową smugę na widnokręgu, odbijającą się w ciemnej masie wody. Jej przyszłość też wydawała się ciemna. Widziała siebie sprowadzoną do roli kobiety wypełniającej nadrzędny obowiązek bycia dobrą matką i żoną, odmierzającą życie urodzinami dzieci i kolejnymi rocznicami ślubu.

Mama zawsze powtarzała, że gdy nie wiadomo co robić, warto przystanąć i pomyśleć; spokojnie, trzeźwo, rozsądnie i wtedy rozwiązanie nasunie się samo. Wspomnienie rodziców wywołało świeże łzy. Znow ich zawiodła. I Marię. I przede wszystkim siebie. Tu nie było rozwiązania. Wielkie marzenia zostaną zamknięte za drzwiami, które właśnie przed sobą zatrzasnęła. Czekala ją spokojna egzystencja, osładzana drobnymi przyjemnościami.

Kopnęła ze złością kamyk, w który wpatrywała się od dłuższego czasu.

- Celny strzał – usłyszała męski głos, dobiegający zza pleców.

Odwróciła się gwałtownie. Uśmiech chłopaka w jaskrawej koszulce zgasł, gdy zobaczył jej zapłakaną twarz.

- Sorry – powiedział unosząc ręce.

Kiwnął na kolegów stojących opodal i odeszli. Małgosię wcale to nie zdziwiło. W tym mieście nikt nie miał czasu, aby ocierać cudze łzy, nie oczekiwano zobowiązań, deklaracji, długotrwałych starań. Wystarczył nieuchwytny sygnał, aby wiedzieć, czy warto zatrzymać wzrok na dłużej, jeśli go nie było, na uwagę czekały następne twarze. Małgosia patrzyła z żalem, jak idą ku pobliskiej dyskotecie. Potężny reflektor na dachu wyrzucał w niebo snop kolorowych świateł, zachęcając do zabawy. Wstała i ocierając policzki ruszyła za nimi.

Zatrzymała się przed wejściem. Wystarczyło przekroczyć próg i dać się ponieść dyskotekowym rytmom. Jednak tłum w środku wydawał się nieprzyjazny, chaotyczny. Przeszła przez ulicę. Uskoczyła na dźwięk klaksonu, ale zaraz potem wyprostowała się dumnie. To nie był sygnał ostrzegawczy. Tu kierowcy trąbili, aby wyrazić uznanie dla wdzięków przechodzących dziewcząt. Nikogo to nie oburzało. Dawnym zwyczajem odrzuciła w tył opadające na policzki włosy. Słońce opromieniło je złotymi refleksami, które lśniły w światłach samochodów. Uśmiechnęła się – wciąż była dziewczyną, za którą mężczyźni spoglądali w lusterka wsteczne swoich wozów. O tym, że wszystko się zmieniło wiedziała tylko ona, ale mogła przecież udawać. Jeszcze dziś. Jutro. Dopóki nie powie Luigiemu. Dopóki na jego twarzy nie pojawi się niedowierzanie, nieśmiała radość i w końcu duma.

Niepostrzeżenie dotarła na obrzeża miasta. Ciszę przeciął huk pędzącego w stronę centrum motocykla. Przypomniała sobie przejażdżkę z Lucą. Zabrał ją na tor Formuły 1. Nie jechał szybko z obawy, że Małgosia nie utrzyma się na ostrych zakrętach, ale to jej nie wystarczyło. Chciała mocniejszych wrażeń. Wyjechali na autostradę, by mogła poczuć prawdziwą prędkość. Pamiętała jak wiatr blokował jej oddech. Miała mnóstwo takich wspomnień. Tylko czy wystarczą na resztę życia? Pięknych wspomnień nie można przywoływać zbyt często, bo bledną, a blednąc przestają rozświetlać codzienność.

W zamierający ryk potężnego silnika wmieszał się pogłos trąbki. Nad uchylonymi drzwiami narożnej kamienicy migał napis: *Number One*. Małgosia przystanęła w cieniu drzewa. Przymknęła oczy i wsłuchała się w muzykę. Usypiała jednostajnym rytmem bębnów, aby za chwilę eksplodować przenikliwą wibracją trąbki. Budziła niepokój i uspokajała obietnicą jego ukojenia. Przenosiła w nieznane miejsca, w inny czas.

Pokonała kilka, prowadzących w dół schodków, i weszła do niewielkiego klubu. Przy jasno oświetlonym barze siedziało parę osób. W powietrzu unosiły się opary rozgrzanych ciał, alkoholu i nikotyny. Dostrzegła wolny stół przy końcu kontuaru. Minęła mężczyznę zajętego rozmową z dwiema dziewczynami i usiadła. Po chwili mężczyzna wstał i gestem zaprosił swoje towarzyszki do drugiej części lokalu. Z cienia wyłonił się kelner. Poprowadził ich do stolika tuż obok okrągłego parkietu. Goście zajęli miejsca na miękkiej sofie, złożyli zamówienie i wrócili do przerwanej rozmowy. Kelner skłonił się lekko, zapalił pękata świeczkę po czym energicznym krokiem podszedł do baru.

- Paolo, dwa razy Cuba Libre i raz dżin z tonikiem – zawołał, wchodząc za ladę.

Chwycił tacę, ustawił popielniczkę, miseczkę z orzeszkami i, postukując palcami, czekał aż barman przygotowuje drinki.

Małgosia obserwowała, jak płynnymi ruchami napełnia szklanki. Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, bo podniósł głowę i mrugnął powieką. Zawstydzona, przeniosła wzrok na rząd butelek ustawionych na tle ciemnego lustra. Niektóre znała, wiedziała jak smakują zamknięte w nich trunki, inne wciąż pozostawały dla niej tajemnicą.

Paolo odstawił na miejsce rum i dzin, i ścierając rozprysnięte krople coca-coli, zerkał w stronę samotnie siedzącej dziewczyny. Oparła się o ścianę pokrytą welurową tapetą. Na jej tle jasne włosy lśniły różową poświatą. Obserwował ją od kiedy pojawiła się w klubie. Ocena klientów była częścią jego zawodu. Wiedział, kto niechętnie sięga do portfela i czeka na resztę, a kto zostawi suty napiwek. Tego zawsze obsługiwał w pierwszej kolejności. Jeśli ktoś przychodził sam – nie ważne kobieta, czy mężczyzna – to albo chciał upić troski w samotności, albo szukał towarzystwa. Dziewczyny, próbując zwrócić na siebie uwagę, zachowywały się głośno i wyzywająco. W *Number One* nigdy nie brakowało chętnych do stawiania drinków, szybko więc przenosiły się do dyskretnej salki za parkietem. Tam przejmowali je kelnerzy. Cena krótkotrwałej znajomości nie była wygórowana – dziesięć tysięcy lirów za kieliszek. Najgorsi jednak byli ci, którzy godzinami przesiadywali przy barze, zanudzając go smętnymi opowieściami lub kiepskimi żartami. Dziewczyny o jasnych włosach nie potrafił sklasyfikować.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta, wiedział, że prawdziwy ruch zacznie się dopiero po północy. Wziął wysoką szklankę, wsypał garść lodu, nalał gęstego syropu poziomkowego, odrobinę wódki cytrynowej i, delikatnie aby nie zmącić składników, dodał sok z limonki.

- Wyjątkowy drink dla wyjątkowej dziewczyny – powiedział, podchodząc.

Zawahała się.

- Na koszt firmy.

Małgosia przysunęła szklankę, wyczuła zapach alkoholu i skrzywiła się nieznacznie.

- Dziękuję, ale...

- To ja dziękuję – przerwał jej. Rozłożył ramiona i spojrzał w górę. – Dziękuję niebiosom, że pozwoliły ci zejść na ziemię.

Obdarowała go uśmiechem. To wystarczyło by zachęcić Paola do większej śmiałości.

- Jak ma na imię piękna bogini? – zapytał.

Miał sympatyczną twarz i zalotne spojrzenie.

- Afrodyta...

- ... zrodzona z morskiej piany, aby cieszyć ludzkie oczy – wpadł jej w słowo. – A na poważnie?

- Nie wiem, czy zwykły śmiertelnik godzien jest jego poznania – Małgosia podtrzymała jego żartobliwy ton. Bawił ją.

- Śmiertelnik nie, ale ja jestem barmanem, bogiem tego miejsca – powiedział i zrobił krótką pauzę. – Więc?

- Margherita.

- Margherita – powtórzył miękko. – Imię piękne jak jego właścicielka. – Wyraźnie zapraszał ją do flirtu.

- Uwielbiam barmanów – powiedziała, przyjmując zaproszenie. Lubiła niezobowiązujące słowne igraszki. – Zawsze mają dobry humor i są wiarygodni nawet wtedy, gdy wygadują głupstwa.

- Wrócimy do tego tematu – obiecał, odchodząc przywoływany przez kelnera.

Spodobał mu się sposób w jaki się uśmiechała, jej subtelna uroda, poczucie humoru i obcy akcent.

Szybko zrealizował zamówienie i wrócił.

- Puszczę ci mój ulubiony utwór – powiedział, zaglądając jej w oczy. – To z filmu *Zazel*.

Po chwili z głośników popłynęła muzyka, która ją tu zwabiła. W rytm perkusji wplatał się kobiecy głos: „...Let's go straight to number one...”. Zmysłową prośbę porywał ze sobą rozdzierający dźwięk trąbki.

Dziewczyna, wsłuchując się w tekst, mimowolnie okręciła na palcu pukiel włosów.

- Nie znam tego filmu – powiedziała zmieszana.

- Bo to nie jest film dla grzecznych dziewczynek.

Margherita na chwilę opuściła powieki. Nie chciała być grzeczną dziewczynką. Była nią przez ostatnie trzy tygodnie i będzie musiała być przez resztę życia. Ale dziś jeszcze nie!

- Chcę go zobaczyć. O której kończysz?

Paolo nie potrafił ukryć zdumienia. Przechylił się ponad kontuarem i szepnął jej do ucha:

- Szkoda, że sobie ze mnie żartujesz.

- Może nie?

To pytanie od dobrych piętnastu minut nurtowało jego myśli. Klienci powoli zapelniali lokal. Miał czas, aby zamieniać z Margheritą tylko pojedyncze zdania i ciągle nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Prowokowała go po to, by za chwilę śmiało słowa obrócić w żart. Zadawał coraz odważniejsze pytania.

- Dlaczego przyszłaś sama? Pokłóciłaś się ze swoim chłopakiem?

Jej uśmiech przygasł. Przeciągnęła palcem po wilgotnej szklance. Wciąż była pełna.

- Przeciwnie. Jeszcze nigdy nie byłam z nim tak blisko.

Paolo zaskoczony, popatrzył jej w oczy.

- Nie smakuje ci mój autorski drink?

- Nie piję alkoholu. – Paolo wyczuł w głosie dziewczyny nutę żalu. Dotknął jej dłoni.

- Boisz się, że chcę cię upić?

- Jestem w ciąży – powiedziała, cofając rękę.

Niespokojnie rozejrzała się wokół. Pozornie wszystko wyglądało tak samo. Ściany nie runęły, muzyka nie umilkła, tylko Paolo już nie patrzył na nią z zalotnym błyskiem w oczach. Jego miejsce zajął profesjonalny uśmiech, którym nie zdołał pokryć zawodu.

Wyprostował się, przyjmując postawę zgodną ze swoją rolą. Był barmanem, człowiekiem, który często jako pierwszy, poznaje sekrety klientów. W ważnych chwilach życia niektórzy chodzili do kościoła, inni do baru, ci, zamiast przyjąć komunię, pili whisky, ale i jedni, i drudzy szukali spowiednika. Bez problemu odgadywał, czy bardziej potrzebują pocieszenia, czy błogosławieństwa. Dawał im to bez mrugnięcia powiek. Patrząc na Margheritę, nie potrafił powiedzieć nic poza suchym *gratuluję*.

Gdy odszedł, Małgosia poczuła znużenie, ale nie jak po zbyt długim spacerze, czy ciężkim dniu. To było zmęczenie, jakie nadchodzi po stoczeniu ciężkiej walki, którą się przegrywa. Nie potrafiła udawać. W końcu powiedziała głośno słowa, o których tak bardzo chciała zapomnieć. Poraziła ją siła ich oddziaływania. One naprawdę zamykały drzwi, tak jak zamknęły niewinny flirt z Paolo.

Na wolnym stołku obok dziewczyny usiadł mężczyzna i niedwuznacznie zerkał w jej dekolt. Miał wygląd typowego włoskiego podrywacza. Krępą sylwetkę maskował luźną marynarką i rozpiętą do połowy koszulą, spod której wyłaniał się ciężki złoty łańcuch.

- *Ciao* – powiedział, oblizując wargi.

Małgosia zignorowała go i spojrzała w stronę wyjścia. Przesłaniali je czterej mężczyźni, którzy właśnie podchodzili do baru. Rozmowy przycichły na chwilę, powstał krótkotrwały, nerwowy ruch wśród obsługi. Kelnerzy prześcigali się z powitalnymi uprzejmościami, Paolo stanął na baczność i w milczeniu czekał na zamówienia. Najwyższy z nich wyjął z kieszeni paczkę papierosów, drugi natychmiast podał mu ogień. Małgosia patrzyła, jak w górę ulatuje smuga dymu. Dłoń trzymająca papierosa była szczupła, ale emanowała z niej siła i piękno. Jak z dłoni dyrygenta trzymającego batutę. Widać było każdą kostkę biegnącą od przegubu do smukłych palców. Zafascynowało Małgosię ich ułożenie, gdy nieznajomy podnosił rękę, by włożyć papierosa do ust. Widziała jego profil. Linia krótko przyciętych, ciemnych włosów okalała ucho i biegnąc w górę uwydatniała idealny kształt skroni. Miał najwyżej trzydzieści lat, jednoliniowy zarost nie mógł jej zmylić, ale z jego zachowania biła powaga i pewność siebie.

Kelner zza pleców Małgosi przywołał barmana.

- Podaj paczkę Dunhilli.

Paolo podchodząc, prześliznął wzrokiem po dziewczynie. Zateęskniła za niewinną zabawą, przerwana nieopatrzonym wyznaniem. Podniosła szklanke, poczuła słodki zapach poziomek zaostrzony alkoholem i cierpką nutą cytrusów. Wypiła łyk i, w geście uznania dla barmańskiego kunsztu, wyprostowanym palcem zrobiła dołek w policzku. Paolo uśmiechnął się nieznacznie.

- Żartowałam – powiedziała, gdy podszedł wystarczająco blisko. Na sekundę znów pojawił się kokieteryj-

ny błysk w oczach.

- Uważaj – szepnął i odszedł, zanim zdążyła otworzyć usta.

Mężczyzna przy barze zgasił papierosa. Małgosia kątem oka dostrzegła, jak rusza w jej kierunku. Szedł miękko i zdecydowanie zarazem, niczym drapieżnik stąpający po swoim terytorium. Typ ze złotym łańcuchem zszedł ze stołka, ustępując mu miejsca. Nieznajomy stanął obok i nonszalanckim ruchem oparł się o barową ladę.

Patrzył na nią uważnie, ale beznamyślnie, jak patrzy się na obraz, który nie jest dziełem sztuki. Małgosia skuliła się bezwiednie. W jego oczach było coś magnetyzującego. Jakiś wewnętrzny mrok, nieokreślona głębia, która nie pasowała do tak młodej twarzy. Nie budziła sympatii. Odrobinę niesymetryczna górna warga, zdecydowanie zbyt wąska w stosunku do dolnej, wyraźnie zarysowanej na mocnym podbródku, nadawała jej wyraz wyższości i pogardy. Mądre oczy łagodziły niekorzystne wrażenie, ale skłonność do ironii, czająca się w opuszczonych kącikach ust i niewielka blizna nad lewą brwią, budziły niepokój.

- Nie szukam wrażeń – powiedziała zbyt szybko. Zbyt agresywnie.

Mężczyzna skrzywił się lekko.

- Ciekawe – odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Małgosia poczuła prąd przebiegający przez ciało. Nigdy nie została poddana hipnozie, ale wyobrażała sobie, że właśnie tak przebiega pierwszy etap. Z trudem poruszyła się na stołku. Uśmiech, którym ją obdarzył nie złagodził ostrości rysów, spowodował jedynie nienaturalne napięcie mięśni, które zdradzało, że nie śmieje się zbyt często.

- Więc, po co tu przyszłaś? – zapytał.

- Żeby się napić. I potańczyć – dodała, widząc jak przenosi wzrok na wilgotną szklanekę, w której pływały resztki rozpuszczonego lodu.

- Nie wychodzi ci najlepiej ani jedno, ani drugie.

Małgosię zirytowała wyraźna kpina w jego głosie.

- Na razie – powiedziała i biorąc drinka do ręki, posłała mężczyźnie wyzywające spojrzenie.

Wytrzymał je bez mrugnięcia powiek.

- No cóż, ja właśnie szukam wrażeń i nie tańczę, więc...

- Ok. – przerwała mu. Wiedziała, co chce powiedzieć. Drżącą ręką chwyciła plastikową słomkę. Wypiła kilka łyków. Alkohol podrażnił zaschnięte gardło i wywołał poczucie winy. Nie powinna pić i nie powinna czuć żalu, że nieznajomy za moment odejdzie. W ogóle nie powinno jej tu być. Lista wyrzeczeń, które ją czekały znów przewinęła się w jej myślach. Koncert. Za dwa tygodnie Vasco Rossi rozpoczynał trasę. Miała już bilety dla siebie i Aniko na inauguracyjny występ w Veronie. Od miesięcy marzyła żeby go zobaczyć, tak, jak w tej chwili, marzyła, żeby dotknąć wypielęgnowanej dłoni, swobodnie opartej na granitowym kontuarze. Zamrugała powiekami, żeby odgonić łzy napływające do oczu i ześliznęła się ze stołka.

Zrobiła krok w przód. Nieznajomy chwycił ją za ramię.

- Uciekasz? – zapytał z ironicznym uśmiechem.

- Wychodzę – sprostowała.

- Nie wychodź. – W jego głosie nie było prośby. To był rozkaz wypowiedziany spokojnym, acz kategorycznym tonem.

Małgosia nie lubiła rozkazów. Szarpnęła się, jednak uścisk nie zelżał. Był stanowczy, ale i delikatny zarazem. Tak samo sprzeczny jak targające nią emocje.

- Dlaczego? – zapytała unosząc głowę, żeby popatrzeć mu w oczy.

- Ponieważ wcale tego nie chcesz.

Podrażniła ją pewność siebie mężczyzny i to z jaką łatwością odczytywał jej myśli. Miał rację, wcale nie chciała wyjść, tylko że on nie mógł o tym wiedzieć. Jedynie tata rozumiał ją bez słów. I Aniko. Gdyby tu była, teraz szalałyby na parkiecie. Potrząsnęła głową i wymownym wzrokiem spojrzała na dłoń, która wciąż przytrzymywała jej ramię. Zaciśnięte palce rozluźniły uścisk i przesunęły w dół, aż do nadgarstka. Małgosia poczuła przeszywający ją dreszcz i instynktownie zrobiła krok w tył.

- Boisz się mnie – stwierdził.

Tym razem nie miał racji. Nie bała się jego, raczej tego co czuła, gdy jej dotykał. Nie powinna tego czuć! Odwróciła się ze złością.

- Jak owieczka... motyla – prychnęła.

Rozległ się drwiący śmiech. Ściągnął uwagę reszty mężczyzn. Małgosia miała wrażenie, że stoi na ringu, a zgromadzona wokół publiczność czeka na kolejną rundę. Ten wieczór nie mógł zakończyć się jej porażką. Musiała wywalczyć kolejne wspomnienie, które będzie polisą ubezpieczeniową od nieszczęścia stabilizacji.

Wspięła się na palce i pocałowała go mocno, bezwstydnie, z determinacją niezbędną na polu walki. Ale przegrała. Odsunął ją z grymasem niesmaku na twarzy.

- Teraz już mogę wyjść? – spytała, aby pokryć rozczarowanie i wstyd.

- Idź.

Odsunął się, robiąc jej przejście.

- Kim ty jesteś, do cholery, żeby mówić mi, co mam robić?

Siły, którą daje upokorzenie wystarcza tylko na ucieczkę lub tupnięcie nogą i krzyk. Teraz Małgosia mogła już tylko rozejrzeć się w poszukiwaniu schronienia dla bezwładnie opadających ramion i łez. Przed sobą widziała długą drogę do wyjścia. Zbyt długą.

- Jestem kucharzem. Zwyczajnym, pachnącym cebulą kucharzem. – Usłyszała zaskakująco ciepły głos. Nieznajomy wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Przyłgnęła do niego z wdzięcznością.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jasna69, dodano 29.06.2013 08:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.